11. Października. **Nr. 42.** 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:
kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**“ we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera**.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej.“

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

IX.

Od tygodnia mieszkała już rodzina pana Brzozy na przedmieściu. Przed tygodniem niektórzy lokatorowie, sąsiedzi przy ulicy Pańskiej, wyśmiali ich, bo sprzęty wyrzucono im na ulicę. Zaledwie jeden człowiek na stu litował się, ale co drugi — wyśmiał. Podczas całej tej tragiczno-komicznej katastrofy obecnym był tylko sam pan Brzoza. Czekał przed kamienicą spokojnie na pozór, dopóki nie wyniesiono wszystkiego do ostatka. Zajął się sam wyszukaniem nowego pomieszkania, przeniesieniem... załatwiając to z takim spokojem, że zwracał uwagę całej rodziny i niepokoił ją właśnie tym niesłychanym w niedoli spokojem. A z nowego, jakkolwiek odległego na przedmieściu pomieszkania chodził co dzień do miasta, szukał zajęcia, zarabiał jak mógł, ale mógł nie wiele. Ułatwił tylko Melanji i Stasi wstęp do domów zamożniejszych, gdzie mogły uczyć dzieci. Miał jeszcze przyjaciół starych, jakkolwiek niezamożnych, ale mających niejakie względy z dawnych czasów u ludzi, którzy, jak to mówią ›mogą dać drugim sposób do życia, jeżeli zechcą.‹ O takich właśnie chcących dać drugim sposób do życia zasłyszawszy pan Brzoza, zaproponował najprzód Stasi staranie się o miejsce nauczycielki małych dzieci. Oczewiście, że dający te sposoby do życia ludzie, postanawiają sobie sami rozstrzygnięcie: ile dadzą za pracę, a pracy dadzą tyle, ile jej dla siebie potrzebować będą. Pan Boromeusz nie zastanawiał się nad tem; sądził jednak, że za pierwszem wejrzeniem na dziecko jego ukochane, ci ludzie chętni nie obciążą je wielkim trudem. Tak sądziła i żona jego, tak i Stasia sama. W tej dobrej wierze wybrały się obie do miasta z listem uzyskanym od przyjaciół pana Brzozy. Stasia martwiła się trochę, że nie ma stosownej sukienki do pokazania się pierwszy raz w domu ludzi bogatych. Nie wiedziała o tem, że ludzie zamożni nie zawsze obrażają się. Ludzie bogaci przyjmują wizyty tylko od równych majątkiem; innym, udzielają tylko posłuchania. Mogą ci inni stać na równi z nimi, a nawet przewyższać ich duchowo, intelektualizm ten jednakowoż nie zbawi ich wobec złota. Niechaj raczej odezwą się naśladując pokornych: ›Panie! przyjmij w uszy prośbę moją!‹ i zechciej nałożyć na mnie jarzmo... O! gdyby szukający pracy pokorniejsi byli, a dający ją gdyby więcej znali się z ludzkością, nie potrzebowałaby matka ze Stasią wyczekiwać z godzinę w przedpokoju. Tymczasem pani Boromeuszowa chciała już ze cztery razy wejść i tyleż razy odpowiedział lokaj:

— Niech pani będzie łaskawa zaczekać!

Pani Boromeuszowa ze Stasią a Stasia z listem czekały w przedpokoju pani Runowskiej. Do tej pani miały list polecający Stasię. Po przedpokoju chodzi lokaj i zagląda zuchwale w oczy, ale Stasi obrazić nie może, ona nie widzi nawet, tak zamyślona. Lokaj obraża tylko panią Boromeuszowę i wykracza z granic lokajskich, jeżeli w ogóle obrażało by kogo przypuszczenie, że lokaj może tak samo czuć i to samo mieć prawo, co każdy człowiek. Przedpokój tymczasem jest zawsze jeszcze przedpokojem i służba pańska lubuje się w obrażaniu uczuć delikatnych ludzi oświeconych a ubogich. Czuje to głęboko pani Boromeuszowa, dotknęło to nawet Stasię nakoniec; ale czekają.

Nareszcie otworzył lokaj drzwi od pokojów i wyszedł ktoś, jakiś młody mężczyzna, a Stasia musiała usłyszeć od młodzika te oto słowa, dosyć głośno wyrzeczone:

— Piękny buziaczek!

— Ach! — westchnęła w duszy, o! ciężko westchnęła i pożałowała, że nie jest mężczyzną, albo, że nie było koło niej jakiego rzeczywistego mężczyzny. Pogardziła zuchwalstwem takiem, ale krew twarz jej okrasiła. Kiedy weszły aż do trzeciego pokoju matka z córką, zastały dwie panie. Jedna z nich siedziała odwrócona przy oknie, druga sama pani domu, ułomna, leżała na kanapie. Pani Runowska wskazała krzesło matce, a do Stasi zwróciła się z przemową:

— Panna to masz mi oddać list?

Stasia oddała list, a pani Boromeuszowa poprawiła się niezadowolona z przemowy. Pani Runowska przebiegła list szybko i odezwała się znowu:

— Bardzoś młoda jak się zdaje? Ile pani masz lat?

— Siedmnaście.

— No, moje dzieci także bardzo jeszcze młode. Życzyłam sobie przyjąć młodszą osobę; nie lubię starszych z wadami niedodarowania. Tak młoda jak pani, potrafi sądzę pozbywać się wad, gdyby się jakie odkryły, bo tego wymagać będę, jeżeli panna chcesz uczyć dzieci moje.

— Staram się o to — odparła Stasia — chociaż...

— Rozumiem — skończyła pani Runowska. — Każdy ma swoje wady, ale mój dom, moje otoczenie może być dobrym przykładem. Wszyscy tu przestrzegamy pobożności; znosimy wszystko cierpliwie, o tak! cierpliwie — dodała z naciskiem i sycząc, spojrzawszy na własne nogi okryte dywanem.

— To też moja panno — ciągnęła dalej pani Runowska — życzyłabym sobie bardzo, abyś była wzorem

dla moich dzieci, przynajmniej jak długo zostajesz w tym domu. Chciej zawsze zasłużyć tylko na pochwałę.

— To będzie mojem staraniem! — odparła Stasia śmielej.

— Bo też to powinno być aspanny staraniem — ozwał się głos piskliwy z pod okna.

— Pozwól siostro! — przerwała pani Runowska. — Spodziewam się zawsze wszystkiego dobrego od osób, którym się dobrze robi, a ja pani nie chcę krzywdzić, ale właśnie podać jej sposób uczciwej zasługi. Wynagrodzenie, sądzę, powinno być dostateczne.

Pani Boromeuszowa i Stasia spojrzały jedna na drugą, bo o kwocie, która miała stanowić wynagrodzenie, nie słyszały dotąd.

— Mówię aż o pięciu złotych reńskich na miesiąc — powiedziała pani Runowska — które mieć możesz u mnie za sześć godzin codzień poświęconych moim dzieciom.

— Łaskawa pani daruje — zaczęła Stasia.

— Proszę, proszę, lepiej naprzód umówić się. Mów panna co sądzisz? Chociaż uprzedzam, że mieć będziesz uczennice dobre, cierpliwe, słowem anielskie dzieci. Za udzielane im lekcje ofiaruję dosyć, bo rodzice panny jak słyszałam, podobno bardzo ubodzy ludzie. A ja daję pięć złotych reńskich i objad! Pani zapewne nie chciałabyś być zawadą, ale pomocą rodziców, otoż objad to przecie rzecz nie mała.

— Zapewne, ale sześć godzin, to prawie cały dzień — odparła Stasia.

— To ujmiemy jedną godzinę, a z wynagrodzenia spodziewam się powinnaś pani być zadowolona. Dziś ciężkie czasy, a osób wykształconych wiele; same się proszą.

Z pod okna dał się znowu słyszeć głos piskliwy:

— Bardzo wiele osób, skończenie wykształconych! Ach! bardzo wiele, i bez zajęcia. Tylko to dzisiaj w głowach się poprzewracało! Wolą znosić niedostatek, niż pracować. To samo ja mam ze sługami.

Pani Boromeuszowa powstała teraz nagle i rzekła powstrzymując wybuch gniewu:

— Panie darują, że nie mogę się zgodzić, aby dziecko moje było traktowane jak osoby biedne, przymuszone służyć. U mnie i służąca jest człowiekiem, ale dziecko moje nie na to pracowało dosyć długo nad sobą, aby je znieważano jak te biedne istoty, dla których o ilem słyszała, pani nie ma litości.

To mówiąc wskazała na kobietę siedzącą pod oknem.

Pani Runowska odparła najspokojniej:

— Pani sama będziesz przyczyną niedoli własnej córki. Ktoż tak dzieci uczy, taki przykład daje? A szkoda, bo podobała mi się. Patrzno Salusiu — mówiła zwrócona do damy w oknie — co to za interesowna twarzyczka! Rzeczywiście, bardzo ładnie wyglądasz pani!... Ale jeżeli pani nie życzy sobie, coż robić? Żegnam panie!

Pani Boromeuszowej i Stasi nie pozostawało w istocie nic innego, jak pożegnać te panie i wracać do domu. Wychodziły też co prędzej, a przeszedłszy kilka pokoi i przedpokój, stanęły w pięć minut na ulicy.

Posłuchanie u pań trwało krótko i skończyło się na niczem, ale na posłuchanie wyczekały za to przynajmniej godzinę. Powracające do domu narzekały, a narzekały bez końca, bo cierpienia są bez granic, jak bez granic przepaść, dzieląca te dwie kobiety na ulicy i tamte dwie panie, co pozostały w pięknym i ciepłym pokoju.

A dwie pozostałe panie w pięknym i ciepłym pokoju rozmawiały ubolewając nad zaślepieniem tej niewdzięcznej klasy pochodzenia niewiadomego. Bez antenatów to, a rozprawia o ludzkości, a kiedyż ludzkość nieuprzywilejowana miała prawo odzywać się głośno? O zgrozo! Nie bywało tego nigdy, a jednak ludzkość zrobiła swoje! Zrobi i teraz! I dwie pozostałe panie zgorszone były wielce, bo niewdzięczna klasa ludzi nie uznała ich dobrych chęci. Chciały podać sposób do życia, i nie przyjęto! A jakże nie miały zasmucić się te dwa gołębie serca na widok matki, ciągnącej własne dziecko w otchłań zepsucia. O matko! bez Boga w sercu, nie pouczająca córki swej pokory! tamte dwie panie płaczą nad tobą krwawemi łzami jako prawowierne, bogobojne religjantki, ale jako panie świata wielkiego wyśmiały, wyszydziły już twe uczucia!

Pani Boromeuszowa z córką powróciły aż koło południa do domu. Szły pomału, bo w domu nie spodziewały się znaleźć pocieszenia. Kto wie, może nawet nowe nieszczęście je czekało? Ludzie, którym raz powodzenie przestanie być wiernym sługą, wierzą tylko w nieszczęścia.

Pan Brzoza usłyszawszy jak się stało, nie gniewał się. Od pewnego czasu niczem nie rozweselony, rzekł z uśmiechem:

— Ot, nie ma się czego gniewać. Nie dali sposobu do życia, ale chcieli dać, i pewnie radzili?

— Radziły tylko, bo to dwie panie — odparła Stasia zabierając się do roboty.

— Moje dziecko! nie zagaduj i nie bierz się jeszcze do roboty — rzekł ojciec, odbierając Stasi z rąk szycie. — Całą noc prawie szyłaś. Myślisz, że ja spałem? Nie moja panno, widziałem dobrze. Powiem ci nawet, żeś płakała do tego...

— Muszę dziś skończyć!

— Skończysz jeszcze, a teraz odpocznij. Przynajmniej do objadu. Ale, ale, zkąd to dzisiaj Urszulka na taki smaczny objad wzięła? To już pewnie ty znowu na nas wszystkich zarobiłaś?

W tej chwili weszła i Urszulka z zapytaniem, gdzie Melanja, bo objad już gotów i tylko na nią czeka.

Gdzie Melanja — wiedziała o tem tylko pani Boromeuszowa.

Melanja wychodziła wprawdzie codzień rano na lekcje, ale wracała wcześniej. Jeżeli zabawiła czasem dłużej, to wracała wtedy nie sama, ale towarzyszył jej zwykle młody Racimorowski. Pani Boromeuszowa wiedziała o tem, ale robiła sobie nadzieje, że Racimorowski oświadczy się wkrótce o rękę Melanji. — Zapewniał on, że ojciec jego nie może sprzeciwić się, że czeka tylko na przypadającą mu część znacznego dosyć majątku od ojca, jeszcze za życia. Szeremet nalegał na Brzozę, ażeby postąpił stanowczo i nie pozwalał kompromitować córki, ale pan Boromeusz tak zobojętniał na wszystko, że znosił to widywanie się dwojga młodych ludzi, jakby o niczem nie wiedział, jakby nie znał ojca tego młodego człowieka.

Racimorowski unikał spotkania z Szeremetem, bo obawiał się stanowczego zapytania, a Szeremet lubił mówić

otwarcie. Była nawet chwila, że zaczął już mówić z Racimorowskim o stosunku jego z Melanją, ale syn pana kapitana wywinął się tak zręcznie i tak starannie ukrywał się odtąd przed bacznem okiem narzeczonego Stasi, że niepodobna było zaradzić złemu. A Szeremetowi zdawało się, że jest źle! I może się nie mylił.

Racimorowski, jak sam wyznawał przepędzał większą połowę dnia na ulicy. Chodził i każdej kobiecie zaglądał bezczelnie w oczy. Wzrok jego szklanny wytrzymywał spojrzenia zimno, jeżeli mu się udało zwrócić na siebie uwagę. Żadne prawie spojrzenie nie odbiło się dotąd w jego duszy. I rzecz dziwna. Tak samo chciał spojrzeć w oczy spotkanej przypadkiem Melanji; chciał, a jednak nie mógł. Kiedy zapatrzył się na nią w kościele, ażeby ocenić ten w oczach jego towar, z za szkła występowały łzy i piekły, i musiał odwracać oczy. To zainteresowało go bardziej i zrobił znajomość. Z początku lekceważył tę, jak się wyraził przed Szeremetem — ›dziewczynę‹. Ale później oczy tej dziewczyny nie dawały mu spokoju. Gniewało go to i chciał być śmielszym, ale odpokutował to zawsze, bo Melanja nie pokazywała się znowu dni kilka. Melanja kierowała się więcej rozumem, choć wyznawała w duszy, że Felicjan Racimorowski pierwszy podobał się jej więcej był od innych. Racimorowski nie przeczuwał nawet, że o ile grzeczniejszym, uprzedzającym, o tyle zbliżał się do Melanji. A zawsze każde uchybienie jego umiała Melanja ukarać dotkliwie. Był on jak na rozdrożu, i stosunek ten nieokreślony trwał aż do chwili obecnej. Teraz chodził codzień na odległe przedmieście i nie nudził się. Często nawet po południu zbliżał się do nędznego domku, gdzie mieszkała Melanja z rodzicami. Wiedział, że o tej godzinie nie zobaczy Melanji, ale szedł, coś go ciągnęło. — Zawsze jeszcze powracał rozzłoszczony do miasta.

Dziś właśnie, kiedy spostrzeżono w domu nieobecność Melanji, pojawiło się w uliczce wiodącej w bok do cmentarza z ulicy Łyczakowskiej dwie postacie zwolna kroczące. Był to Racimorowski i Melanja. Rozmawiali — Racimorowski okazywał nawet troskliwość dopytując się co chwila: ›Czy pani nie zimno?‹

Nosił na ręku przestronny pled i chciał nim zawsze przysłużyć się Melanji, ale ona nie przyjmowała nigdy tej uprzejmości.

— Pani jesteś niemiłosierna!

Melanja uśmiechnęła się nie odpowiadając.

— Pani chcesz przeziębić się! — Pozwól pani, niech ją okryję, wiatr chłodny.

— Nic mi nie szkodzi.

Szli znowu przez chwilę w milczeniu, aż Racimorowski odezwał się powtórnie:

— Więc pani mię nienawidzisz?

— Ktoż to panu powiedział?

— Postępowanie pani ze mną!

— Zdaje mi się, że nie ubliża panu? — rzekła Melanja z ironją.

— Przepraszam, przepraszam panią! To napomnienie?

— Jak pan sądzisz?

— Ja już nie wiem, co mam sądzić, jak sądzić?

Ledwie nie oszaleję.

— Zdaje mi się, że mogę naprzód podziękować Bogu, bo ochroni pana od takiego nieszczęścia.

Racimorowski westchnął głęboko, zagryzł usta i szedł spokojnie aż do miejsca, z którego widny był domek mały, gdzie mieszkali państwo Brzozowie. Tu podała mu rękę Melanja, on ucałował jej rękę, niepomny, że całuje rękę ›dziewczyny‹. Być może, — sądził: odludna ulica, nikt nie widzi; a może i inne jakie, szlachetniejsze uczucia były dlań w tej chwili pobudką. Stał na miejscu, dopóki nie stracił z oczu Melanji wchodzącej do niskiego o kilkaset kroków domku. (C. d. n.)

Rejtan.

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Akt IV.

(*Gabinet króla*).

Scena I.

KRÓL zajęty jakiemś malowidłem; po chwili PAŹ.

KRÓL (*sam*).

Nie omyliła burza! Rejtan prędki
Jak piorun!... Sprawa ma już swe znaczenie,
A pan Poniński spuścił nieco z chętki
Szerokowładztwa...

PAŹ (*wchodzi; przez ramię ma przewieszoną tunikę*).
Wypełniam zlecenie
Waszej królewskiej Mości — te draperje...

KRÓL.

Ach, czy tunikę Waść przynosisz grecką?
A wdziejże rychło — (*Pomaga mu ubrać*).
Tak! (*Opatruje*).
Istne misterje!...
Apollonowe widno z Waści dziecko...
Ej, i twarzyczkę masz antycznie smutną...
Ach, Waść rodzonym jesteś synem Muzy —

(*Biegnie ku sztaludze*).

Zaraz mi tedy musisz leźć na płótno!...

(*W wielkim pośpiechu ustawia ramę*).

Ha... a kędziory bujne powiąż w guzy.
Tak!... Teraz kłębom przepaska z fontaziu...
Cudownie!... Nawet coś marmurem blady...
Jak dziecko własne kocham cię mój paziu,
Boś mi jest piękną edycją Hellady!

(*Patrzy na Pazia z oddali*).

Przepysznie! bosko!... Trza wykształcić nieco
Fałdy... Niech miękko spoczywa ta frendzla...
Cud! Już cię nie tknę, bo mi wnet ulecą
Skrzydła natchnienia. Więc żywo do pędzla!...

(*Zabiera się do pędzla*).

Hym... nieco w górę wzrok, mały Apollo...
Tak. — Teraz jeszcze, żeby podnieść chwilę,
I poczuć świat ten z jego aureolą,
Wraz mi poema wygłoś „Termopile.“
Czysto i dźwięcznie, a całe uczucie
Stawiaj na hazard: jak rycerz pod szarfą,
Pomyśl, żeś wkrył serce w bogów kucie...
Słuchamy zatem; mów nam miła harfo!

(*Maluje*).

PAŹ (*wygłasza*).

Z wszech stron łupieżce tłoczą się zajadli,
Aż drżała Grecja, słysząc śmierci łomy —
Wrogowie liczbą ogromni nań spadli:
Koniec widomy!

KRÓL (*mówi jakby echem wrażenia*).

I dziś wróg łakomy...

PAŹ (*ciągnie dalej*).

Biada narodom w tak okropnych chwilach!
Sława im! gdy się nie zlękną kurhanów —
Tak Leonidas stał na Termopilach,
W trzechset Spartanów!

KRÓL (*jak przedtem*).

Dziś mamy Rejtanów...

PAŹ (*kończy*).

A kiedy Grecję strach ścisnął i zwalił,
Owi niezłomni od śmierci ją strzegli,
A Leonidas sławę jej ocalił,
Choć wszyscy legli! —

(*Ostatnie słowa wymawia Paź drżącym głosem*).

KRÓL (*do Pazia, odkładając pędzel*).

Twarz się twoja cegli...
Co tobie dziecię?... Boże! jaki blady...
Paziu mój!

PAŹ (*żałośnie*).

Panie! ach, czemu my czasów
Owych synami?... Niemasz już Hellady,
Próżno spłynęła krew Leonidasów;
A dziś czekają znów śmierci okrutnej
Na Termopilach nowych, tam — Spartanie!

KRÓL.

Boleść!...

PAŹ.

Ulituj się ich twarzy smutnej
I bez nadziei, Miłościwy panie!
Bo jeśli owi narodu wybrańce,
Już wycieńczeni straszną wrogów burzą,
Trupami swemi zalegną te szańce:
Losy Hellady i nam się powtórzą...
Panie! dziwnemi snać bardzo wypadki
Opatrzność swoje wyroki uprzedza,
A Termopile widne z tej gromadki
W Izbie poselskiej!

KRÓL (*chodzi silnie, i głosem modlitwy*).

Niechże Pańska wiedza
Spłynie na lichy ten rozum człowieka!
Niech go oświeci ta święta mistrzyni
Spraw! On prostaczek biedny i kaleka!
Coż rozum ludzki w tej sprawie uczyni?
Coż tu uczynić może ta królewska
Osoba, mimo swoich szczerych chęci?...
A, ratuj-że nas Panienko niebieska
I wszyscy ziem tych biednych wielcy Święci!

(*Do Pazia*).

Jakże ja pomódz mam Ichmościom?

PAŹ.

Panie,
W berle królewskiem czyż nie znaleźć klucza
Na tak szlachetnej sprawy rozwiązanie!

KRÓL.

Ha, to pacholę mię dzisiaj poucza
O władzy tego berła... O, na Boga!
Tego już nie znieść dłużej...

(*Usiada i milczy boleśnie*).

PAŹ (*na kolanach*).

Panie!

KRÓL.

Czego
Chcecie odemnie?

PAŹ.

Wszak oni od wroga
Ziemię i berło twoje panie strzegą!

KRÓL (*spokojniej*).

Głodem zamorzą się. Okropność cuchnie
Jakaś z Ichmościów... (*Wstaje*).

Ha, wystąpić trzeba! —

(*Po chwili namysłu do Pazia*).

Śpiesz Waść co żywo zanieść im mą kuchnię...

(*Paź drżący stoi*).

Coż?...

PAŹ.

Panie, panie! codziennego chleba
Nie pragną Ichmość...

KRÓL.

Ha, to dumnie! dumnie!
No, no, pomyśli się jakoś i o tem...
Tymczasem trzeba posilić tych w trumnie
Żywych. Śpiesz zatem!

(*Paź odchodzi*).

Scena II.

KRÓL, po chwili MŁODZIEJOWSKI.

KRÓL (*sam*).

Więc strasznym kłopotem
Zwala się na mnie i ta jeszcze sprawa!...
O! czy za wiele nie wkłada Opatrzność
Na słabe barki te?!

MŁODZIEJOWSKI (*z pośpiechem wchodząc*).

Straszna niesława,
Jak i wypadku okropna dwuznaczność,
Sprowadza mię tu Miłościwy panie! —
Bo oto właśnie pan poseł moskiewski,
Strasznie zgniewany na postępowanie
Niektórych posłów, do Waszej królewskiej
Mości przysyła mię po objaśnienia
Tego wypadku. Tu jest pismo...

KRÓL (*nie przyjmuje pisma*).

Ładnie!
Więc mamy wrzkomo nad sobą mocarza? —
Ha, to okropnie! to jest bezprzykładnie!

(*Chodzi silnie*).

MŁODZIEJOWSKI.

Pan poseł zemstą carowej odgraża
W danym przypadku... Sądzę przeto panie,
Że ta niegodna Izb poselskich sprawa
Wielkich znów nieszczęść powodem się stanie;
Toż nie wiem, czemu pan nasz tak obstawa
Przy owych posłach, którzy, jako sądzę,
Co najmniej muszą być...

KRÓL.

Dość tego! proszę,
Nie zapominaj Waszmość: Ja tu rządzę! —
A coś tam wspomniał o owej macosze
Tych ziem i berła: to nas nie obchodzi!
Zresztą — jak Jejmość imperatorowa
Obrazę z tejto okazji wywodzi,

W której lichego nie wynajdziesz słowa
Coby majestat jej psowało jawnie,
Lub zawiść naszych rodziło narodów? —
Pan poseł zatem wymaga nieprawnie
Wyjaśnień po nas! — Nie mamy powodów
Tłómaczyć takie zarzuty złośliwe.

MŁODZIEJOWSKI.

Racz też królewska Wasza Mość rozważyć...

KRÓL (*spokojniej*).

Wszakże wiesz Wasze, żeśmy nam życzliwe
Osoby, chcieli na Rejtana zażyć,
Aby dał pokój swemu oporowi,
Zwłaszcza, że próżnym jest; lecz co pomoże
Perswazja komuś, co się tak znarowi
Jak nieszczęśliwy ów człek. Daj to Boże
By pofolgował sobie! Czyliż chcecie,
By król ku rzeczy zchodził osobistej?
W lada przywatne by się mięszał śmiecie?
Tać to prywata!

MŁODZIEJOWSKI.

Odniosę więc listy
Panu posłowi, jako są nietknięte,
Bez odpowiedzi...

KRÓL.

Nieś z Bogiem! Ho, na nic
Drapieżnej Moskwy takie drogi kręte!
Król też nie wyjdzie z majestatu granic
K'woli niegodnej żądzy dogodzeniu
Niektórych osób, z nadużyciem prawa!...

MŁODZIEJOWSKI.

Zważ Miłościwy panie, w rozdrażnieniu
Czem będzie taka posłowi odprawa?
Temu, co przywykł tu niejako władać...

KRÓL (*namiętnie*).

I Waszmość śmiesz to mówić w obecności
Swojego króla?

(*Młodziejowski chce usprawiedliwiać*).

Toż nawet spowiadać
Nie trza, by prawdę słyszeć od Waszmości!
Szczerość wam serce na usta wypędza...
O, znamy was już! Sama myśl was zdradza!
Więc niech raz jeszcze wybiegnie ta jędza:
Powtórz, kto panem tu? i przy kim władza?

MŁODZIEJOWSKI.

Niechaj mię tylko za prędko nie sądzi
Wasza królewska Mość: wszakżeśmy czołem
Przed majestatem Waszym!... Ktoż tu błądzi? —
Lecz tego słowem nie zaprzeczym gołem,
Że ów pan poseł ma rozliczne wpływy
Między Ichmościów wszelaką osobą...

KRÓL.

O! to jest, przez co ten kraj nieszczęśliwy!
To właśnie ciężką słoni go żałobą:
Synów tej ziemi niegodziwe targi
Z obcemi dwory i niecna frymarka!
Ci to panowie będą winni skargi
Gdy się już czynów ich przebierze miarka.
Uważ więc Waszmość sam, jeśliś roztropny:
Zkąd nam przystało karcić tego człeka,
Który w miłości Ojczyzny pochopny,
Kiedy już wszystko z warty swej ucieka,
Stał w jej obronie na ognistej baszcie
I wytrwał! Gdzież tu chociażby cień zbrodni?
Chyba o miłość Ojczyzny go skarżcie,
Powiedźcie głośno: my oto wyrodni!...

MŁODZIEJOWSKI.

Pozwól więc Wasza Miłość swemu słudze
Z tą odpowiedzią smutną się oddalić —
Z żalem... wiem bowiem, że śpiące nią zbudzę
Moce, co rade by się rozzuchwalić...

KRÓL (*po wahaniu*).

Zaczekaj!... Trudna walka z taką hydrą...
Pokaż nam Waszmość te fatalne listy —
Niechaj to serce do głębi nam wydrą...

(*Otwiera listy i przebiega okiem*).

Tażto nam rozkaz tutaj oczewisty!...
Groźba?... (*Czyta*).
„A jeśli to się nie uiści,
Wraz stanie korpus pięćdziesiąttysięczny
U bram stolicy; ten pewnie oczyści
Kraj, za łask tyle mej pani niewdzięczny!..."

(*Rzuca listem o ziemię i depce nogą, cały chwiejny i drżący*).

Hańba!!...

MŁODZIEJOWSKI.

Na Boga! memu panu słabo?...

KRÓL (*daje znak ręką, żeby się oddalił*).

Zostaw nas samych!

MŁODZIEJOWSKI.

Odpowiedź?...

KRÓL (*po długiej walce z sobą*).

Ha!... później.

(*Młodziejowski odchodzi*).

Scena III.

KRÓL (*sam*).

Ja — król, zmuszony drżeć przed ową babą!...
Ja — król, kowadłem w tej piekielnej kuźni?
Monarcha — cieniem ja władzy monarszej...
Ha! dość tej hańby i ręki macoszej!
Ujrzym, kto panem tu i władzą starszy?

(*Po chwili*).

Przekleństwo owej północnej kokoszy!
Co począć?... Zdobyć nie mogę najlichszą
Radę!... (*Po chwili*).
Ha, dobrze — dobrze — w samą porę,
Koronę składam! (*Chodzi gwałtownie*).
Tak. — Potem niech wichrzą
Jak chcą! — Z królewskich tych szat się rozbiorę
I dość, bo jakąż mogę złożyć władzę
Jeślim nie zaznał jej?... (*Gwałtownie*).
Składam koronę!
O tak! — I cóż mi po takiej powadze?
Więc jutro; zaraz... O, głowy szalone!
Rozhukanego ja nie umiem lwa paść —
I jutro zaraz...

(*Wchodzi Paź*).

Scena IV.

KRÓL, PAŹ — później GACYK.

PAŹ (*smutno do Króla*).

Nie przyjęli strawy. —

KRÓL (*nie zważając na słowa Pazia*).

Koronę składam — tak. — Odwrócę napaść
Przebrzydłą; — mieli dość ze mnie zabawy!...

(*Staje przed Paziem*).

Koronę składam! — Dziwi cię to pewnie?
Złożę ją, złożę. — Ruszaj tedy śpiesznie
Po koronnego kanclerza. (*Paż waha się*).
Cóż rzewnie
Patrzysz się na mnie? to ci nie pociesznie?

PAŻ.

Panie mój!

KRÓL.

Dość już hańby mojej! — (*Rezolutnie*).
Zatem,
Śpiesz się!

PAŻ.

Już idę Miłościwy panie... (*Waha się*).

KRÓL (*porywa go za rękę*).

O! nie tytułuj już czczym majestatem!
Jam ci już równy w godności i stanie...
Ach, jakże przeżyć tak straszną ohydę!...

PAŻ.

Mój Boże! krok ten panie Miłościwy...

KRÓL (*spokojniej*).

Cyt, cyt! skończona! Śpiesz, każę! —

PAŻ.

Już idę...

(*Idzie ku drzwiom i zatrzymuje się z Gacykiem, który wszedł właśnie we drzwi — szepczą cicho*).

KRÓL (*do siebie*).

O, patrzcie, co to jest człek nieszczęśliwy!... (*Po chwili*).
Stało się! (*Wstaje*).
Stało?... Ej, czy nie za wcześnie?
Za wielki pośpiech czy nie był z tym krokiem?
Co to? — zda mi się, że to zaszło we śnie...
Z koroną rozstać się własnym wyrokiem?
Nigdy! (*Dzwoni*).
Hej, paziu!...

PAŻ (*przystępuje z listem w ręku*).

Miłościwy panie...

KRÓL (*spostrzegając list*).

Co masz?

PAŻ.

Jegomość tu właśnie przybyły,
Przynosi...

KRÓL (*daje znak Gacykowi, żeby się zbliżył*).

Kto Waść, i jak ci nazwanie?

GACYK (*z głębokim ukłonem*).

Sługa królewskiej Mości do mogiły!
Czołem przed Waszą królewską Miłością!
Gacyk, do usług — poseł. — Bardzo dziwną
Z panem Rejtanem związan znajomością:
Jako ów gołąb' gałązkę oliwną
Arce Noego, podjąłem z ochotą
Ichmościom w Izbie zamkniętym poselskiej
Przynieść królewską pociechę... Tu oto
List własnoręczny, do Waszej anielskiej
Dziwną słodyczą majestatu — Mości!
Pana Rejtana...

KRÓL (*otwiera list*).

Obaczmy, co mieści
Pismo Ichmościów — (*Do Pazia*).
Waść patrz naszych gości
I pilnie donoś. (*Przebiega list*).
Ach, tyle boleści
Wylali tutaj, że strach zbiera czytać —

(*Po chwili czytania*).

Co?

(*Patrzy ostro na Gacyka, ten się kłania głęboko*).

Więc to Waszmość miałbyś być tym stróżem
Aniołem? Pozwól że się nam wypytać
O całej rzeczy? Okiem patrzym dużem
Na Waszmość pana! — Mówże nam dobitnie
O całem zajściu owem i powodach?

GACYK (*z ukłonem*).

Nad wszelki wyraz będzie mi zaszczytnie!
Krótko: po długich, długich korowodach,
Sprawę ojczystą jedynie na celu
Mając, przyszedłem więc do zaufania
Konfederacji tej pana Marszałka;
Ten nagle rozkaz mi daje porwania
Rejtana... Tego czekałem! i śmiałka
Rolę udając biorę się do rzeczy,
Zaś w samą porę wypuszczam tajemnie
Więźnia na wolność...

KRÓL.

Tak to Bóg niweczy
Co uknowają gdzieś piekielne ciemnie!
Bądźże mu chwała! — Zaś panu, mój Mości
Powiemy: dzielnieś nam się, dzielnie sprawił!
Więc bądź też pewien naszej życzliwości
I łask. — Marszałek? o, ten się zniesławił
Strasznie, haniebnem takiem pogwałceniem
Obywatelskiej osoby — Bóg z nami!
Cożby się w czasie z wszelkiem urodzeniem
Stało, gdyby nam pójść temi drogami? —
To o Marszałku i tej niecnej sprawie.
Teraz pomówmy o tych dobrowolnych
Więźniach: cóż myślą począć? boć na ławie
Poselskiej trudno w czasach tak mozolnych
Wytrwać, a zwłaszcza, że ów wróg zacięty
Nie śpi, a owszem okrótnie nabiera
Swych złych popędów. Próżne tu więc wstręty
Jako sądzimy: człeczysko się stera
Jeden i drugi i trzeci, a wszystek
Nader poczciwy i nad wyraz zacny!
Więc też i szkoda, aby lada chłystek,
Jako Marszałek ów, miał tryumf łacny
Z upadku owych Ichmościów. Najlepiej
Jako się rzekło już...

PAŻ (*wchodząc*).

Jaśnie Wielmożny
Poniński —

KRÓL (*w kłopocie*).

Zdrajca ten? — Niech się odczepi!
Czegoż by chcieć mógł ten człowiek bezbożny?...

(*Do Gacyka*).

Waść ruszaj żywo tu — do tego gniazda...

(*Otwiera mu drzwi skryte w tapecie*).

A siedź tam cicho, aż ci wrota skrzypną. (*Zamyka*).
Dziś mi złowroga jakaś świeci gwiazda!
Wszyscy się zchodzą wrzeszczeć — nie ochrypną!

(*Do Pazia*).

Puść, puść tam — (*Paż odchodzi*).
Teraz z szatanem. — Cóż zdziałam?

(*Wchodzi Poniński*). (C. d. n.)

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA

nie z „Tysiąca i jednej nocy".

(Ciąg dalszy).

Cudnej piękności był ptak Kramadata! Pióra miał takie, jak gdyby wszystkie wziął na się brylanty; głos jak muzyka najcudniejsza!... Za potrząśnięciem skrzydeł sypały się z nich urocze błyski i zdobiły ziemię; śpiew cudnego ptaka zwabił skrzydlatych mieszkańców zaczarowanego gaju, którzy obsiadłszy krzewy i gałęzie, słuchały śpiewu w roskosznem upojeniu.

Po skończeniu cudownego śpiewu Kramadata, ujrzał ptak Ciena i Trata, ujrzał i zatrząsł się całem ciałem. Rozwinął skrzydła — połowę gaju zalał brylantowym blaskiem; całą moc gniewu przywołał do oka — a zaświeciły jak najcudniejsze rubiny; chciał grozą przerazić przybyszów — a wydał ze siebie głos tak tęskny, a roskoszny, że mu współczuciem odjękło wszystko, i obaj rycerze uczuli w swem sercu miłość dla cudownego ptaka.

— Kramadato! — rzekł Cień rozrzewniony. — Nie słabość, lecz przyszła tu siła; nie złość, lecz zawiodła nas do gaju miłość. Ta cała kraina oddana nam została w służbę, po zwycięztwie Ognity. Jestem Cień, a ze mną Trat, król gnomów! Nie występuj wrogo, bo zwyciężyliśmy potęgą; lecz daj nam miłość, bo ci ofiarujemy serce. Oto dowód mej mocy! — Skinął, wyrzekł tajemne zaklęcie — snop światła strzelił w górę ku księżycowi, i okazał mękę Ognity... Na ten widok gaj cały wydał głos podziwu; wszystko aż do najniższej trawki oddało hołd zwycięzcy, chyląc się ku ziemi... Cień skinął ponownie — światło znikło, i dwaj rycerze postąpili ku źródłu.

Jakie tam cuda obaczyli, jaki piękna ogrom — nie opisać! Wobec tego co było u źródła wody życia — Kramadata był tylko zwykłym wróblem!...

Nasyciwszy wzrok swój pięknem, które tu widniało w całym swym majestacie, Cień nakazał duchom napełnić sto beczek wodą życia, a wsadziwszy je na Kramadatę, wsiadł z towarzyszem i kazał się wieść do miejsca, gdzie się znajdowała Wodnica.

Ptak rozwinął skrzydła i uniosł obu w przestwór.

Płynęli w powietrzu nad krainą roskoszną, pełną cudów i dziwów, które zaledwie w snach widzieć się dają... aż zatrzymali się nad wielką górą ołowianą, która na skinienie wszechwładnego Cienia rozwarła się, okazując w swej głębi obszerną salę, w pośrodku której ujrzeli rycerze niewieścią postać, która była zajętą przedziwną robotą: u jej nóg leżały drogocenne rudy, a tajemnicza niewiasta jak z kądzieli wysnuwała z nich nici: srebrne, złote, które z pod jej palców uciekały długiem pasmem, kryjąc się w głąb' ziemi... W pracującej poznał Cień Wodnicę.

— Witaj rusałko! — rzekł, zbliżając się do wiotkiej postaci.

Rusałka zadrżała; a ujrzawszy Cienia padła przed nim na kolana.

— Przebacz mi! — rzekła — losów ulubieńcze, żem cię w pałacu cudownym zamknęła; przebacz nierozważnej! i nie karz jej, bo i tak cierpiałam wiele...

Cień z dobrocią podniósł klęczącą.

— Powstań — rzekł. — Nie uczyniłeś mi nic złego. Cierpienia twoje skończone. Wolna, ulatuj w twe gaje, i niech cię zła wola odstąpi.

— O, najszlachetniejszy! — zawołała rusałka. — W tem strasznem podziemiu wypaliły się we mnie złe żądze. Teraz jestem lepszą, dla złości niemasz miejsca w mem sercu. Panie, pozwól mi służyć tobie wiernie, po wszystkie czasy!

— Cieniu! — zawołał Trat rozczulony. — Nie weź mi za złe, że przemówię w twojem imieniu. Rusałko! pójdź do moich pałaców. Uczynię cię towarzyszką boskiej Talis, a będzie ci tak przyjazną jak słońce ziemi, jak rosa kwiatom spragnionym.

— Czy pragniesz tego? — zapytał Cień rusałkę.

— Wola twoja panie, jest moją wolą. Pójdę do Talis i będę jej wierną.

— Wychodź więc piękna pokutnico, i wracajmy szczęśliwie dokończyć rozpoczętego dzieła. Cudowny ptaku! zanieś nas w krainę szczęścia.

Roskoszną była droga powrotu! Wśród cudów przyrody, gromadą dobrych duchów otoczeni, w powodzi tonów muzyki niebiańskiej, potężnem skrzydłem rozcinał błękit Kramadata, i stanął z podróżnymi w miejscu, gdzie olbrzymi pająk legł przebity mieczem Cienia. Mirjady gnomów i mieszkańcy byłego państwa Ognity wysypały się z głośnemi okrzyki, na przyjęcie władców.

Pierwszym czynem powracających była łaska: kropla wody ożywiającej wróciła życie pająkowi, któren na znak wdzięczności poprzysiągł zaniechać szkodliwego rzemiosła — i odtąd snuje przędzę, ale nie szkodliwą, która tylko unosi się w przestworzu, nikogo nie łowiąc w swe sieci.

Drugim aktem było wskrzeszenie poległych. Woda ożywiająca i tych wróciła do życia. Okrzyki wdzięczności, błogosławieństwa płynęły w drogę za rycerzami, udającymi się do stolicy Trata dla wskrzeszenia pięknej jego małżonki, boskiej Talis. A gdy życie odzyskała, jak gdyby z długiego snu przebudzona — nie ma wyrazów na opisanie szczęścia króla gnomów!... Płakał, tańczył, rzucał się na szyję, do nóg Cienia, i łzami wdzięczności je oblewał.

Wydano ucztę, która trwała tydzień cały, co raz to nowemi przeplatana roskoszami.

Boska Talis zachwycała wszystkich pięknością, ujmowała dobrocią, i szczęście zapanowało w krainie gnomów; a wieść o cudach zdarzonych doszła do najdalszych okrain ziemi, i ściągnęła mnóstwo ciekawych, który przybyli dla widzenia cudów naocznie.

Zapewne ta sama ciekawość sprowadziła i królowę rusałek do stolicy Trata. Przybyła w towarzystwie Toplany, jedynej towarzyszki, która jej pozostała, po zniknięciu Leśnej i Wodnicy. (D. n.)

BIBLIOGRAFJA POLSKA

podawana przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.

Anczyc, Wł. L. Ofiary i przygody z podróży po różnych częściach świata. Z 6ma rycinami. 8wo (347 str.). Warszawa 1868 . . . . . 2 zł. 70 ct.

Becker, K. F. Powrót Ulissesa do Itaki. Opowiadanie z dziejów starożytnych dla młodzieży. Wolny przekład z niemieckiego. Z 8ma miedziorytami. 8wo (284 str.). Lwów 1868 . . . . . 2 „ — „

Chęciński, Jan. Cicha woda brzegi rwie. Przysłowie dramatyczne w jednym akcie wierszem. 8wo (71 str.). Poznań 1868 . . . . . . — „ 90 „

Gaultier, L. E. K. Geografia powszechna. Wydanie czwarte, nowo przejrzane, poprawione, uzupełnione z uwzględnieniem najnowszych zmian terytorjalnych i do użytku niższych zakładów naukowych polskich prywatnych i publicznych zastosowane przez L. T. 8wo (233 str.). Lwów 1868 . — „ 90 „

Grzechy i cnoty w 30 powiastkach. Opowiadanie dziatkom 8 do 10letnim, ozdobione 5ma obrazkami. Z francuzkiego. 32ka (169 str.). Warszawa 1868 . 1 „ 23 „

Hube, R. O zniesieniu prawa rzymskiego i rzymsko-byzantyńskiego u narodów słowiańskich, w dodatku ekscepta serbskie z praw rzymsko-byzantyńskich. 8wo (88 str.). Warszawa 1868 . . 1 „ 35 „

Koźmian, St. Kuzynka bez posagu. Fraszka dramatyczna w jednym akcie prozą. 8wo (36 str.). Poznań 1868 — „ 45 „

Komorowski, B. Po śmierci. Komedja w jednym akcie wierszem. 8wo (64 str.). Lwów 1868 . . — „ 60 „

Kraków. Paulina. Pamiętniki młodej sieroty. Trzecie poprawne wydanie z 24ma rycinami. 8wo (159 str.). Warszawa 1868 . . . . . . 1 „ 62 „

„ Wieczory domowe. Zbiór zabawek, opisów i powiastek dla nauki i rozrywki dobrych dzieci. Z rycinami kolorowanemi. Wydanie drugie. 16ka (199 str.). Warszawa 1868 . . . . 1 „ 16 „

„ Wspomnienia wygnanki. Wydanie drugie z 6ma rycinami. 16ka (250 str.). Warszawa 1868 . 1 „ 82 „

Leclerq, Emil. Powiastki prawdopodobne dla dzieci, spolszczone przez Jana Chęcińskiego. Z 6ma rycinami. 16ka. Warszawa 1868 . . . . . . 1 „ 82 „

Liguori, Sw. Alfons. Jak nas ukochał Jezus czyli pobożne męki Pańskiej rozmyślanie z przydaniem Drogi krzyżowej przez ojca Honorata Kapucyna. 16ka (XXX. i 362 str.). Warszawa 1868 . . 1 „ 18 „

Makowiecki, A. Spółki spożywcze. 16ka (35 str.). Warszawa 1868 . . . . — „ 47 „

Marczowska, A. Wyjątek z powieści p. t. Żyd chrześcjanin. 8wo (51 str.). Warszawa 1868 . . . — „ 60 „

Nowosielski, T. Mali ludzie i ich świat. Z rycinami. 8wo (170 str.). Warszawa 1868 . . . . 2 „ 16 „

Opowiadania matki małym dziatkom. 16 powiastek ozdobionych 5ma kolorowanemi obrazkami. Z francuskiego. 36ka (179 str.). Warszawa 1868 . 1 „ 23 „

Ostrowski, Krystyn. Macocha. Dramat w pięciu aktach podług Balzaka, pięciomiarem jambo-rymowym przerobiony. 8wo (194 str.). Paryż 1868 . . 1 „ 20 „

Pamiętniki pudla. Wydane po francusku przez p. Julię Gourand. 8wo (166 str.). Poznań 1868 . . 1 „ 80 „

Piątkowski, R. Trzysta podań i opowieści z gorzelnictwa. 8wo (121 str.). Lwów 1868 . . . . — zł. 50 ct.

Rzążewski, Adam. Roman Zmorski. Kilka słów poświęconych pamięci zmarłego w dniu 18. lutego 1867 roku 8wo (26 str.). Warszawa 1868 . . . — „ 37 „

Smiles, S. Prawdą a pracą. Księga o poradności. Przekład. 8wo (423 str.). Kraków 1868 . . . 2 „ 80 „

Sprawozdanie komisji fizjograficznej c. k. Towarzystwa naukowego, obejmujące pogląd na dokonane czynności w ciągu roku 1867, oraz materjały do fizjografji Galicji. Z mapą autografowaną. 8wo (208 i 150 str.). Kraków 1868 . . . 2 „ — „

Rozmaitości.

* (Teatr.) We środę 7. października odegrano po raz pierwszy dramat historyczny w 5. aktach p. t. *Syn Bohdana* napisany przez L. Starzeńskiego a drukowany poprzednio w „Tygodniku lwowskim.“

Przedstawienie powiodło się świetnie. Pan Królikowski w roli Bohdana Chmielnickiego, i p. Szymański w roli jego syna Jerzego, grali bardzo dobrze i przedstawili charaktery jak je sobie autor mieć życzył. Niemniej świetnie przedstawił Neczaja p. Baranowski; a p. Linkowski oddał mnicha Filareta z całą prawdą. Gry pana Wilkoszewskiego nie możemy podnosić, ale usprawiedliwiamy tem, że autor ją utworzył taką, iż się zawsze źle wydać musi. Role kobiece wypadły gorzej: pna Bieńkowska w roli Zofii nie umiała sobie poradzić, a to z tego powodu, że autor kazał jej być poczciwą i jednocześnie zdradzać. Mało co lepiej było z Paraską, którą przedstawiała pna. R. Popielówna, jakkolwiek specjalistka w podobnych rolach, jednak nie mogła oddać roli tak nie naturalnej; to też wszędzie gdzie rola zgadzała się z prawdą, jak sceny, gdzie ona wchodzi do spisku z Zofją, gdzie zatrzymuje Jerzego, odegrane były wyśmienicie; a przeciwnie, gdzie musi nie rozumieć rzeczy najprostszych — stawiało artystkę w przykrem położeniu.

Najnieszczęśliwiej udało się p. Miłaszewskiemu; wziął on na słabe swe barki ciężką rolę Jana Wyhowskiego. Z tej pięknej postaci historycznej, którą i autor wysoko podnosi, a nieledwie nie robi jej najwspanialszą w dramacie p. Miłaszewski przedstawił jakiegoś mnicha ubranego po kozacku, składającego ręce i prawiącego morały. Radzimy p. Miłaszewskiemu nie występować w tak poważnych rolach, a radzimy nie tylko w interesie publiczności, ale i w jego własnym.

Jakkolwiek rzadko na scenie naszej miewamy lepsze dramata, do jakowych i *Syna Bohdana* zaliczamy, to przecież dyrekcja może się przekonać, że publiczność liczniej uczęszcza na takowe, i zdawałoby się że to powinno skłonić ją do wyrzeczenia się rzeczy gorszych a dawania lepszych; tak jednak nie jest. Dla czego? Nie umiemy odpowiedzieć. *B...*

* Wiktor Hugo napisał nowy romans, który ma się w krótce pojawić, ale tytuł nie jest jeszcze wiadomy; to tylko pewna, że treść nowego utworu wziętą jest z życia angielskiego pod koniec XVI. wieku, że osnutą jest na tych samych zdarzeniach, co znana a piękna powieść Thackeray'a „Henry Esmond.“

* Mądry wybieg. „Courrier des Etats Unis“ pisze: Pewien młody lekarz amerykański wykradł 17letnią pacjentkę swoją i poślubił ją. Rodzice panny młodej wytoczyli mu proces o pojęcie trzech żon. Lekarz tak się bronił przed sądem w Chicago: Nie przeczę, że się trzy razy ożeniłem. Pierwsze moje małżeństwo było ważne; drugie jest nieważne, gdyż zawarte było za życia mojej pierwszej żony; ale trzecie jest ważnem, gdyż pierwsza moja żona umarła, a druga nie liczy się, bo małżeństwo z nią zawarte nie jest ważne. Sąd uznał słuszność tego tłumaczenia się.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.